

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

PZIEWCZYŃKA WIEJSKA.

Wiejskie dziecko, Róża mała
Raz jagódki w lesie rwała;
Słucha... odgłos rzewny, tklivy,
Jakby człowiek nieszczęśliwy
W głębi krzaków się odzywa.
Idzie, idzie bojaźliwa,
Gdzie ją serce doprowadzi;
Jednem tchnieniem się nie zdradzi.
Cichym, lekkim krokiem bieży,
Patrzy... biedny starzec leży. —
„Boże!” — słychać głos rzewliwy —
„O! ja nędzarz nieszczęśliwy: —
Gdzież me kroki obłąd niesie?
W głodzie tułam się po lesie,
Znosząc trudy, słotę, spieki,
Boże! udziel mi opieki.”
Gdy to wyrzekł, ciężar złożył,
Schylił głowę, sen go zmorzył.
A dziewczynka dobra, miła,
Dzbanek z mlekiem postawiła,
Resztę chleba swego dała
I jagódki, co narwała.
Znowu lekko jak sarneczka,
Oddaliła się dziewczynka,
Jednak patrzy, choć zdaleka,
Niecierpliwie czegoś czeka,
Z biciem serca czeka chwili,
Jak ten starzec się posili.
Przebudził się... — „Panie!” — woła —
Czyliś zesłał mi anioła?

Któż od śmierci mnie wybawił?
Kto posilek ten zostawił? —
I przeżegnał dar wspaniały,
I posilił się zgłodniały;
Błysło oko czerstwe, hoże,
I szedł dalej w imię Boże.
A dziewczynka się cieszyła,
Staruszkowi zaskoczyła
Drogę — i uprzejmie wita.
Starzec się dziewczynki pyta:
Nie widziałas, moje dziecko,
Kto mi to ocalił życie?
Kto dał jagód, chleba, mleka?
Nie widziałas, choć zdaleka?
— „Ej, mój ojcze, co pytacie?
Wszak od Boga wszystko macie,
Z czyjejkolwiek przyszło ręki,
Bogu się należą dzięki.
Ja też trochę pomódz mogę,
Oto wam pokażę drogę,
Boście się zbłąkali w lesie.”

Kto pomoc ubogim niesie,
Łaskę od Boga odbiera;
Ale piękniej i wspanialej,
Gdy kto niewidzialnie wspiera,
Z pięknych się czynów nie chwali,
I, jak anioł wśród obłoku,
Ludzkiemu ukryty oku.

St. Jachowicz.

Na kresach.

Opowiadanie z zamierchłej przeszłości.

(Ciąg dalszy.)

Wyszomir osiągnie władzę po Lechu, on przewodniczyć będzie na radzie, on wdzije czapkę Lechową i znak podniesie nad nami! — huknął Dodek.

Lepota wzniosł godło i czapkę ku górze.

Wtem niebo się rozwarło, zdala błyskawica prula obłoki, pomykając jakby ogniem wężykowatym nad wzgórzem.

Grom jęknął przeciągle i zagłuszył ostatnie Dodka wyrazy. Przelekły lud jednym tylko głosem powtarzał:

— Wyszomir, Wyszomir, Wyszomir niech nam panujel... Tak chcą bogi, tak chce Lech, i taka jest wola ludu.

A z czarnej, wiszącej nad wzgórzem chmury, zaczęły spadać wielkie krople deszczu. Lecz wkrótce słońce się przedarło i znów zajaśniało nad mokrą od deszczu ziemią i zebrany ludem.

— Wyszomir, Wyszomir! — wołano uporczywie.

Głosem tym przewodniczyła starszyna, jeden tylko Złot nie dołączył swego głosu.

Tymczasem Wojan i Sroka, dawni towarzysze Wyszomira, wiedli go wśród tłumu na wzgórze, gdzie słońce wzbijając się, coraz jaśniej ożłociło czapkę Lechową, którą Dodek włożył na głowę nowego wodza.

Wyszomir, podniósłszy godło do góry, wołał do ludu:

— Jak ojciec mój, tak i ja chcę wami rządzić — rolę uprawiać i nad waszem czuwać mieniem! Bronić, gdy wrogowie napadną, a dawnej pomścić niewoli! Niech bogi będą z wami i ze mną, niechaj siła Lecha będzie moją siłą.

I na znak przysięgi podniósł grudek ziemi, włożył do ust i potem wychylił kubek wody.

A lud ten, przed chwilą szemrzący, garnał się do nowego wodza, podrzucając w górę czapki i wykrzykując radośnie:

— Wyszomir, Wyszomir, Wyszomir Lecha zastępcą!

VI.

Słońce wzbiwszy się ku południowi, oblało żarem dokoła. Popękana i rozpadła ziemia świadczyła, że, zanim dopiekło, w miejscach tych były bagna i wody. Teraz zdala tylko błyszczała sze-

roka smuga rzeki, naokoło nigdzie nie migotała żadna kałuża, a nieopodal gęsty las nęcił swoim szumem.

Nad rzeką rozrzucone były osady mniejsze i większe, takie, jakieśmy to już nad jeziorem widzieli.

Szumowi lasu odpowiadało od czasu do czasu uderzenie siekiery i chrzęst upadających gałęzi. Odgłos ten bardzo częsty w owym czasie, bo gdy kto chciał przyjść w głąb lasu, musiał torować sobie drogę siekierą, albowiem mniejsze i większe krzaki, połączywszy się gałęziami ze sobą, zagradzały drogę, broniąc przystępu do tych puszczyk odwiecznych, stopą ludzką jeszcze nie zdeptanych.

Stukot topora ustał nareszcie, a pod wielkim rozłożystym bukiem legło dwu ludzi. Odzież na nich była ciemna, wełniana, różniąca się od skórzanego lub lnianego Słowian odzienia. Siekiery żelazne, których jeszcze Słowianie nie mieli, również jak i wzrost ogromny, chód ociężały i niezgrabny, a przedewszystkiem mowa, którą się porozumiewali, najwyraźniej świadczyła, że odpoczywający do innego należeli plemienia.

— Ha! dzikie te lasy, jako i ludzie co w nich mieszkają — rzekł jeden mową obcą, wyciągając strudzone i podrapane, przedzieraniem się przez gęstwinę ręce.

— Niech zginą ludzie i lasy, więcej człowiek szkody niż lup. z tych puszczyk dzikich wyniesie. — Odparkł drugi, wyciągając kawał drewna, który przy wycinaniu gałęzi, utkwiał mu w nawpół obnażonej nodze.

Las jakby oburzony wyrzuconem przekleństwem, zaszumił złowrogo. W dali zaskrzypiała jakaś gnąca się gałąź, a ptaki z krzykiem zerwały się z gniazd swoich, jak gdyby ujrzały ponad sobą krążącego jastrzębia.

Opatrujący nogę zaprzestał roboty i z pewnym przestrachem się obejrzał.

— Ha, ha, ha: — zaśmiał się leżący — ty, widzę, Lunk, wierzyć zaczynasz w ich bogi i duchy. Boisz się najmniejszego szelestu, znać cię baby z Dodkowej chaty urzekły.

— Cichobyś był, Cyller, nie dawnoś ty między nimi, to nie znasz jaki to lud, ci Słowianie. Las gęsty, zda ci się, że nikt się jeszcze przez niego nie przedarł, aż nieraz w największej gęstwinie ujrzyś ślepeca, co go mały chłopak wie-dzie, a idą oni przez tę gęstwinę jakby po najlepszej drodze.

— Ha! głupiś Lunk, i cóż ci taki ślepiec zrobi? Machnąć siekierą i łeb mu spadnie — rzekł Cyller.

— Tyś sam głupi — odparł zagadniony. — A wiesz ty, że za takiego zabitego ślepeca, to cały lud gotów jest powstać, las podpalić i żywcem cię upiec. Przepuścić ślepeca to jeszcze gorzej, bo pójdzie od zagrody do zagrody i wszystko wyda.

Wtem zaszeleściło coś poza gęstwiną. Słychać było chrzęst łamiących się gałęzi, jakby przedzieranie się wśród zarośli.

Teraz już i leżący porwał się na równe nogi i obydwaj niespokojnie nasłuchiwali. Las znów zaszumiał, ptaki zaświergotały i znowu wszystko ucichło.

— Lunk, nie zmyliłeś ty drogi? — szepnął Cyller.

— Co ci się śni, siedm kamieni około buku i na korze siedm wyciętych znaków — rzekł Lunk, rachując rozrzucone kamienie i znaki na drzewie.

— A koni nie ma... — rzekł niecierpliwie Cyller.

— Hm... — kręcąc głową, mruknął Lunk i owijał liśćmi pokaleczone nogi.

— Cicho... — dodał po chwili — zda się słyszę hukanie.

I rzeczywiście nieopodal słyszeć się dało trzykrotne hukanie, które, przedarłszy się pomiędzy drzewami, słabem tylko echem doszło rozmawiających.

— Ho, ho! — odhuknął w kułak Lunk. Cyller zerwał się na nogi.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Baśń o stokrotce.

Podeczas wycieczek, które słońce od wieków robiło na ziemi, skarżyły się przed niem kwiatuszki. Jeden chciał być większym, inny mniejszym, jeden pragnął mieć centki, drugi znów barwę jednostajną. Ten woń miał za słabą, tamten łagodniejszej żądał — słowem żaden kwiatek nie był zadowolony ze swego losu.

Jeden tylko biały kwiatuśzek nie skarżył się nigdy i nie żądał niczego.

Pewnego dnia stanęło słońce przed tym skromnym kwiatkiem, który cichy i nieznagy rósł sobie na łące i rzekło:

— Kochany kwiateczku, dla czego ty nigdy niczego nie żadasz odemnie?

— Bo nie mam żadnego żądania i zadowolony jestem z losu, jaki mi dobry Stwórca przeznaczył.

— Ależ ty jesteś zbyt skromny i zadowolniasz się czemkolwiek. Róże i kamelie przeciwnie nigdy nie są zadowolone i ciągle nowe stawiają żądania.

— Bo każda z nich radaby mieć przymioty drugiej, zamiast myśleć o wykształceniu i wyszlachetnieniu własnem. Ja jestem wprawdzie drobną roślinką, ale za to tem łatwiej opieram się w ukryciu burzom nieba i okrucieństwom człowieka. Ba, nawet sierp żniwiarza oszczędza mi, gdyż jestem zbyt małą. A wierzą mi, śmieję się nieraz serdecznie z grymasów napuszonego słonecznika, który pragnie podziwu całego świata.

— Wierzę ci, mój miły kwiateczku a jednak pragnę koniecznie coś zrobić dla ciebie.

— Jeżeli tak, to pozwól mi rość wszędzie, gdzie ludzie przechodzą i dziatki się bawią — a więc nad drogą, na łąkach i nad pól brzegiem. Rada słyszę rozmowę dzieci i młodzieży, a ludzi bardzo lubię, gdyż nigdy mi jeszcze krzywdy nie uczynili.

— Ależ w takim razie podepczą cię nogami!

— Tak, ale rączki dziecięce pieścić mnie będą.

— Niech i tak będzie.

— Ale mam jeszcze jedną prośbę. Radabym kwitnąć przez rok cały, a wówczas gdy inne kwiatki znikną, dzieci będą radę, gdy wczesną wiosną i późną jesienią znajdą mnie pod śniegiem i szronem.

— A więc kwitnij zawsze stokróteczko miła.

— Dajesz mi zatem i nazwę? O wspaniałe słońce.

— Tak, nazwę, której jesteś godna, bo stokrotnie miłszą mi jesteś od wszystkich twych sióstr pięknych i wspaniałych, bo małe twe serduszek stokroć więcej przymiotów mieści, niż one wszystkie razem ich posiadają. Lecz krom imienia, obdarzę cię i nową krasą.

To rzekłszy, dotknęło słońce skromną stokrótkę swym promieniem i oto w pośrodku jej tarczy została na wieki śliczna złota plama.

Jeżeli storczyki rozpierają się dumnie w złożonych wazach książęcych, jeżeli liście róż przewalają się rozkosznie po perskich kobierach, to za to stokrótki odbierają stokroć więcej pieśzcot, niż róże i storczyki, gdyż żyją one wśród dzieci i ludu, gdzie radość jest silniejszą i serdeczniejszą.



Prawdę mów.

Dziecię, pilnuj twoich słów!
Kłamstwo zdepc jak złą gadzinę, —
Choć zbroisz co, wyznaj swą winę,
I karę znieś — a prawdę mów!

Prawda — to mądrości szczyt,
To świętej cnoty nasienie;
Z kłamstwa się rodzi zbrodnia i wstyd,
A z niemi wieczne cierpienie.

Więc, dziecię, pilnuj swoich słów.
Prawda zło przetrwa i skruszy —
Kłamstwem się brzydź i prawdę mów!
A grzechem nie zbrudzisz duszy.



Nauka polskiego czytania i pisania.

Lekcja XII.

p p, ła-pa, ła-py, ła-pę, ła-
pą, pi-je-my pi-wo i wi-no, o-ni
pi-li wo-dę, on pi-łu-je, pi-łą, ma-
ma m ku-pi-ła ko-ni-ka ma-łe-
go, ta pa-ni pi-ła ka-wę.

Niech dziecko uczy się biegle czytać tych
liter z góry na dół, z dołu do góry, pojedynczych
wyrazów wedle wskazania.

Równocześnie niechaj uczy się pisać, naj-
piej ołówkiem w zeszytych z liniami.



ŁAMIGŁÓWKI

I.

Ojciec cienki a syn gruby
Za łby się trzymają.
Ojciec wielki a syn mały
Siebie nie puszczaają.
Wzięli ojca, on też syna
Podrzucił do góry,
Z sobą zgodni innych tłuką —
Nie puści z nich który.

II.

Leciał ptak, skrzydeł nie miał
Strzelec go zabił, strzelby nie miał,
Panna go zjadła, gęby nie miała.

III.

Już zamieram, gdy się rodzę.
Mrąc sam, innym w życie godzę,
Na przekleństwo choćem wzięty,
Jednak jestem w ręce święty.
Jestem cudny, jestem strachem,
W ziemi żyję, chodzę dachem,
Kto mnie innym życzy mnogo —
Sam przed jednym zadrzy srogo.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 12.

I.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciół srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkim innem panuje przygoda.

II.

Stół.

III.

Bułka.



Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 12.
nadesłali: Małgorzata Schwarz ze Skureza, Au-
gustyn Sikorski i Wojciech Orlikowski z Łęga,
Mikołaj Wabich z Augustowa, Joanna Beyer ze
Starogardu.